GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 PAŹDZIERNIK 1935 R.

NR. 19 ROK V

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 19

1935 R.

1 — X

CZESŁAW BOBROWSKI

WYBÓR PROGRAMU

Programu się nie wybiera. Program narzuca się sam, wyrasta ze światopoglądu społeczeństw i jednostek.

Głód ten narastał powoli. Najwcześniej wyczuwali go młodzi, którzy zawsze dla najprostszych rzeczy potrzebują sankcji wyższego rzędu. Potem poczuli go i starsi. Ci, którzy mają kontakt ze społeczeństwem i którzy widzą, że niesposób inaczej wydobyć z mas wysiłek, zyskać ich aprobatę dla decyzji góry. Ci, którzy mają kontakt z polityką gospodarczą i widzą, że sprzeczności paraliżują się nawzajem. Dzisiaj czują go wszyscy. W ostatnich czasach postawiono aż nadto kropek nad i. Cóż oznacza głód programu? Oznacza jednocześnie poczucie, że odcinkowe, incydentalne rozwiązania są niewspółmierne do wagi sytuacji — i pragnienie jakichś głębszych zmian. Jakich? Przeważnie nie wiadomo. Gdyby było wiadomo, byłyby programy . Programów jest niewiele — głód programu jest powszechny.

Nie tak dawno samo słowo: program podlegało ostracyzmowi. Jeszcze mniejszy dystans dzieli nas od czasu, kiedy poszukiwaczy programu mogło znakomicie zadowolnić wszelkie przyzwoicie sporządzone zestawienie zamierzonych na czas najbliższy posunięć polityczno - gospodarczych. Program jakiego dzisiaj domaga się opinja, poczynając od uczonych w piśmie, a kończąc na człowieku ulicy, ma wychodzić z jednolitych założeń, zachować wewnętrzną zgodność i prowadzić do określonego celu. Słowem, zapotrzebowanie istnieje na towar w pierwszym gatunku. Ale nietylko formalne wymagania stawia opinja programowi. Człowiekowi ulicy jest wszystko jedno, czy to będzie inflacja, czy jakikolwiek inny sposób. Ale musi się to trzymać kupy, dawać człowiekowi ulicy poczucie, że się go świadomie i konsekwentnie prowadzi, i musi „być lepiej" i to w niedługim czasie. Nie widzę wielkiej różnicy pomiędzy postawą szarego człowieka, a postawą speców. Przynajmniej lwiej części speców. Gotowi są przyjąć nową wiarę, byle była dość ambitna, byle chciała zerwać z połowicznością i zaryzykować obietnice.

Skąd się to bierze? Jedno źródło tkwi poza sprawami gospodarczemi, jednem źródłem jest, jeśli chodzi o szerokie masy społeczne, proces, który rozpoczął się nocą z dnia 12 na 13 maja, kiedy z jednych ramion spadł ciężar odpowiedzialności, którą mają nieść wszyscy. Drugie źródło leży w tym punkcie krzywej rozwoju konjunkturalnego, w którym się właśnie znajdujemy. Dopóki krzywa ta w Polsce ostro szła wdół i dopóki jej skok wgórę w nakręcających konjunkturę krajach zachodu, mógł być uważany za krótkotrwały eksperyment — dopóty opinja zadawalniała się polityką gospodarczą, ograniczoną do porządkowania pewnych odcinków. Dość dalekie zaawansowanie całego szeregu procesów przystosowawczych w Polsce, stopniowe zorjentowanie się w sytuacji grup społecznych, najciężej dotkniętych kryzysem, pogłębienie się niektórych sprzeczności w naszej polityce gospodarczej, sprawiające, iż społeczeństwo zatraca wiarę w możliwość np. obniżki cen kartelowych, utrwalenie się planowych eksperymentów zagranicą — oto elementy, które sprzyjały nawoływaniu o stworzenie jednolitego programu. Decydującą wreszcie rolę odgrywają tu pewne odznaki odprężenia, wahającej poprawy w naszej sytuacji gospodarczej. Rodzą one jednocześnie

niewiarę, ażeby dotychczasowemi metodami można było pójść dalej i wiarę, że bardzo niewiele wysiłku byłoby niezbędne dla osiągnięcia dalszej zwyżki poziomu życia gospodarczego. Jeśli chodzi o speców, to i tu również głód programowy stał się wyraźniejszy pod wpływem wspomnianych odznak odprężenia. Bowiem z chwilą tego odprężenia zaczynają się dla polityki gospodarczej kłopoty, które mogą być rozwiązane tylko przy głębiej sięgających posunięciach. Bez nich, przy dalszem niezdecydowaniu, polityka przybierać musi chwilami przykrą rolę czynnika hamującego poprawę (np. krępującego wzrost importu surowców i t. p.).

Mam wrażenie, reasumując, że zjawisko domagania się programowości musi zawsze występować szczególnie silnie właśnie już *po przekroczeniu najniższego punktu* na krzywej konjunkturalnej, podobnie, jak strajki wybuchają również w okresie wznoszenia się krzywej.

Słowa „program" nie zaopatrzyłem dotychczas żadnym epitetem. Zrobiłem to świadomie. Mówi się bowiem przeważnie o programie gospodarczym, ale czy ma się na myśli tylko program gospodarczy? Niewątpliwie nie, niewątpliwie równy akcent kładziony jest na rozwiązanie bieżących zagadnień gospodarczych, jak i na pewne nieokreślone najczęściej postulaty z zakresu ustroju społecznego. Zresztą, czy wogóle możliwe jest odgrodzenie programu gospodarczego i społecznego? W szerszej opinji świadomość nierozdzielności tych dwu rzeczy jest zatracona. Można się spotkać z poglądem, iż program gospodarczy jest poprostu zagadnieniem porządnej, fachowej roboty dobrych ekonomistów. Podobnem złudzeniem żyją te grupy czy zespoły, które przystępują do opracowania programu jak do prac saminaryjnych *). Jest to oczywista pomyłka. Ekonomista może wskazać drogi, któremi osiąga się cele. Może ustalić, czy istnieje pomiędzy poszczególnymi celami zbieżność czy sprzeczność, czy momenty czasu i miejsca pozwalają na osiąganie tych celów. Ale *wybór* celu, podporządkowanie dajmy na to sprawy bezpośredniego, doraźnego odciążenia mas sprawie zbudowania mocnych fundamentów dla przyszłego rozwoju gospodarczego, rozłożenie ciężarów i korzyści na chwilę dzisiejszą i na jutro, na pokolenie bieżące i następne, podział ich pomiędzy poszczególne grupy społeczne, nigdy nie odbywa się na podkładzie kryterjów wyłącznie gospodarczych. Przeciwnie. Dla ustalenia celów polityki gospodarczej trzeba wiedzieć, z czem mamy się liczyć w polityce międzynarodowej, na jakiej grupie społecznej budować przyszłość polski, jak kształtować jej kulturę, z jakiemi fermentami myślowemi w masach się liczyć a jakie negliżować, itd. itd. Te wszystkie problemy rozwiązuje się z kolei nie jak krzyżówki, nie jak zadania arytmetyczne. Odpowiedź na nie tkwi implicite w kształcie i dynamice wewnętrznej danego społeczeństwa. I tylko takie sformułowania celów programowych, które odpowiadają tej dynamice, mogą być akceptowane przez społeczeństwo. Słowem, w płaszczyźnie problemu celów rola budowniczego programu jest niczem innem, jak ujęciem w słowa nieuświadomionej przez społeczeństwo ale tkwiącej w niem hierarchji wartości. Słowem, program gospodarczy poza jego stroną techniczną, gdzie oczywiście decyduje spec, nie może być budowany inaczej, jak przez rostrzyganie problemów poza - gospodarczych.

Z roli, żeby nie powiedzieć przewagi, czynników poza-gospodarczych w procesie tworzenia programu gospodarczego, naogół niedostatecznie zdaje sobie sprawę społeczeństwo. Wyjątki można byłoby napozór widzieć w tych, którzy, jak np. młodzi endecy, na każdym kroku podkreślają, że nie chodzi im o jakąś gospodarkę zwykłą, o dzisiejszy spuchnięty i wykrzywiony kapitalizm, lecz o gospodarkę narodową. W tem zdawałoby się, tkwią jakieś pierwiastki postawy ustrojowej, pierwiastki poza - gospodarczego mitu, nadrzędnego dla innych wartości. Trwa to jednak już sporo czasu, z pierwiastków nic nie kiełkuje, „narodowy" jako epitet dla programu gospodarczego pozostaje ogólnikiem, konkretyzując się jedynie w kierunku antysemityzmu. W ugrupowaniach, stojących na gruncie klasowym supremacja wartościowania społecznego jest jawna, ale też niestety treść społeczna w żadnem zee znanych ugrupowań nie uległa odświeżeniu i przykrajaniu do warunków współczesnej rzeczywistości polskiej.

Nie jest to przypadek. Jest to jeden z wielu rezultatów specyficznej struktury społeczno - zawodowej Polski, jest to wynik osobliwej roli, jaką w warunkach polskich odgrywa niezwykle liczna, a nie stanowiąca jednolitej, zsolidaryzowanej grupy, inteligencja zawodowa, jest to wynik braku stanu trzeciego, niedorozwoju proletarjatu miejskiego, i temu podobnych znanych rzeczy, składających się łącznie na to, że procesy dynamiczne, nurtujące społeczeństwo polskie są i mało wyklarowane i nie ujawniają się na zewnątrz. Przynajmniej jak dotychczas i przynajmniej w formie pewnego całokształtu dążeń. Boć oczywiście bieżąca polityka jest również kształtowana pod wpływem momentów struktury i dynamiki społecznej. Np. w obecnym boju pomiędzy deflacjonistami i inflacjonistami, wśród czyników, stanowiących w Polsce podatny grunt dla krzewienia się t. zw. programu deflacyjnego wymienić należy nietylko czynniki o charakterze struktury gospodarczej, ale i struktury społecznej. T. zw. deflacja i nacisk na zagadnienie stałości waluty jest w Polsce wyrazem tego, iż jako kraj młody pod względem gospodarczym jesteśmy mało zadłużeni i moment zdobycia zaufania dla osiągnięcia nowych kredytów stawiamy wyżej, od zagadnienia odciążenia się od zaciągniętych zobowiązań. Mówiąc jaskrawiej, jest to wyraz pewnej zależności od zagranicy. W tendencjach deflacyjnych widzieć można również wpływ dajmy na to wielkiej roli, jaką odgrywa gospodarka naturalna. Gdybyśmy mieli rolnictwo o typie np. Stanów Zjednoczonych, t. zn. warsztaty w stu niemal procentach nastawione na rynek i jednostronne, niemożliwością byłoby przerzucanie na wieś ciężaru szeregu posunięć gospodarczych. Jed-

---

*) Opowiadał mi pewien znajomy, iż należy do czterech zespołów, pracujących nad programem gospodarczym. Ponieważ wiem pozatem, o dwóch, byłoby to razem sześć. Ilu ich jest jeszcze?

nocześnie z tem jednak musimy się dopatrzeć w tendencjach deflacyjnych wpływu czynników, stojących zupełnie poza obrębem problematyki gospodarczej. Np. stosunek do zagadnienia budżetu, fiskalizm, podporządkowanie interesowi skarbowemu na krótką metę interesów gospodarczych, jest wynikiem takiego, a nie innego pojmowania roli państwa. Bo z jakąż łatwością przyjmuje się w Polsce i jak trudno przeciwnikom zwalczyć, pogląd, że Państwo musi mieć pewną stopę życia, że stopy tej nie regulują możliwości gospodarcze, lecz potrzeby wyższego rzędu. Niewątpliwie w kultywowaniu tendencyj deflacyjnych znaczna też jest rola nieproporcjonalnie w Polsce silnej grupy uposażeń stałych (średnich i wyższych). Grupy, dla której deflacja oznacza realny wzrost dochodu, a która nie czuje się przy wzrastającym zakresie zadań Państwa i niedostatecznej ilości wykwalifikowanych sił zagrożona utratą pracy. Odwrotnie też, jest rzeczą jak najbardziej wyraźną, że w niejednolitym i nieokreślonym obozie nakręcania konjunktury olbrzymią rolę odgrywa np. moment ten, iż klasyczny środek nakręcania: rozwój robót publicznych, prowadzi do rozszerzenia ingerencji Państwa. Nie mówiąc już o tem, że jednym z najbardziej ważkich argumentów pro forum internum każdego inflacjonisty jest pewien stosunek do zagadnienia potrzeb społecznych, który nie pozwala na zaciskanie ponad miarę pasa, chociażby w imię najszczytniejszych obietnic.

Poruszam te rzeczy przykładowo, bez zamiaru wyczerpania ich. W każdym razie jest rzeczą jasną, że dla wyboru pomiędzy tymi dwoma kierunkami myślowymi w bieżącej polityce konjunkturalnej decydującą rolę odgrywa takie lub inne pojmowanie przyszłych form rozwoju gospodarczego — stawka na taką lub inną w życiu gospodarczem centralną postać. Taki lub inny wybór typu psychicznego, porządanego dla rozwoju gospodarki w naszych warunkach, takie lub inne shierarchizowanie potrzeb i ofiar. Budowa programu gospodarczego na dziś, bez wypowiedzenia się jednocześnie co do programu na jutro i pojutrze jest niemożliwością, jest rozwiązywaniem wycinka bez dostatecznego związku z całością. Budowa programu gospodarczego na dłuższą metę jest niemożliwością bez sprecyzowanej postawy w zagadnieniach społecznych i określenia perspektyw politycznych, przedewszystkiem narodowych. Słowem, budowa programu musi być poprzedzona odpowiedzią na szereg pytań, na które odpowiada się nie inaczej, jak na podkładzie skonsolidowanej woli społecznej, na podkładzie mniej czy więcej określonej wizji przyszłego ustroju społeczno - gospodarczego, na podkładzie światopoglądu. Kiedy dynamika społeczna dojrzeje już dostatecznie, odpowiedź na takie pytania narzuca się sama przez się, wtedy programu się nie wybiera, wtedy program narzuca się sam.

Bowiem program jest funkcją mitu społecznego, albo społecznego konserwatyzmu. I na to przedewszystkiem trzeba odpowiedzieć, i tu przedewszystkiem dokonać wyboru. Potem zostaje wielka i żmudna praca gospodarczego, specowskiego wypracowania wytycznych, dopasowania ich do ram twardej rzeczywistości, usunięcia złudzeń, znalezienia środków dla pobudzenia wysiłków.

KAMIL OSTASZEWSKI

POPRAWA STRUKTURY SPOŁECZNEJ

Rozwój struktury społecznej w Polsce rozwija się w niepożądanym kierunku.

Poprawa struktury społecznej była — wśród innych celów — przyczyną, iż polityka wewnętrzna Polski poświęciła kilka naczelnych zasad gospodarczych.

Poświęciliśmy zasadę najniższych kosztów produkcji. Obciążaliśmy produkcję opłatami i świadczeniami w naturze.

Poświęciliśmy zasadę rozbudowy instytucji dobra publicznego w miarę rozrostu środków materjalnych. Budowaliśmy ponad tę miarę.

Poświęciliśmy zasadę usprawnienia dystrybucji, spychając instrumenty wymiany do roli czynnika pozbawionego dyspozycji i nie mogącego określać rozmiarów produkcji.

Poświęciliśmy zasadę podatków łatwych do określenia i tanich w koszcie poboru. Szukaliśmy bowiem podatków „sprawiedliwych".

Poświęciliśmy zasadę swobody obrotu gospodarczego, stwarzając wręcz przeciwieństwo zamierzonego stanu rzeczy, stwarzając warsztaty „legalne" nieprodukujące i warsztaty produkujące, opłacające haracz „legalnym" (kominiarze w Poznańskiem, instalatorzy elektrotechnicy na Wołyniu itp).

Cóż osiągnęliśmy dzięki tym ofiarom? Miarą różnic społecznych w społeczeństwie niekastowem jest dyspersja dochodów, oraz stopnia wykształcenia. Pozatem istnieje owa nieuchwytna liczbowo wielkość, zwana „przynależnością do stanu, wzgl. rodziny", która wynosi ludzi bez cenzusu majątkowego i wykształcenia na wyższe stanowiska.

Ideałem pewnej grupy działaczy z zarania naszej państwowości było społeczeństwo jednolite, o równym stopniu wykształcenia i o równych możliwościach dyspozycji materjalnej. Mój ideał jest skromniejszy: społeczeństwo, w którem wiele osób nie daje się sklasyfikować, wskutek wielkiej ilości formacyj przejściowych, możliwych dzięki licznym ludziom przechodzącym w ciągu swego życia wielokrotnie z jednej klasy do drugiej.

Nawiasem powiedziawszy, czynnikiem bardzo ułatwiającym tę dyfuzję społeczną jest proces bankructwa i narastania nowej burżuazji. Przypomina on pionowe prądy konwekcyjne w cieczach, znacznie skuteczniej wyrównywujące temperaturę aniżeli przewodnictwo cieplne cieczy. Porces bankructwa, którego dobroczynne skutki w dziedzinie niwelowania przerostów gospodarczych są znane, ma w dziedzinie społecznej również skutki niwelacyjne, przyśpieszające proces podnoszenia kultury warstw upośledzonych.

Poziom kultury tych warstw w Polsce podnosi się jednak wskutek innych czynników. Czynnikiem najważniejszym jest szkoła powszechna. Kto porówna tłum uliczny, na przedmieściach przed laty 15 a dziś, ten zauważy zarówno różnicę poziomu wykształcenia i zachowania, jak i różnicę nastawienia emocjonalnego do zagadnień politycznych.

Przed laty był entuzjazm do praw politycznych, które stawały otworem przed każdym dzielnym i wytrwałym. Dziś mamy beznadziejną z nich rezygnację.

Czemu? Skąd ta rezygnacja?

Mojem zdaniem jest ona skutkiem coraz trudniejszej walki o byt, skutkiem coraz silniej zaakcentowanej dyspersji społeczeństwa na klasę uprzywilejowaną i klasę upośledzoną. Na jaśniepaństwo i lud. Przed wojną Kongresówka była wyraźnie rozdzielona na dwie tylko klasy społeczne; warstwa średnia, drobnomieszczaństwo i urzędnicy wszelkich odcieni majątkowych o mniejwięcej jednolitym poziomie kultury i wykształcenia ogólnego — istniały, ale istniały w nie tak wielkiej ilości, jaka zdawała się być potrzebną dla zdrowego rozwoju społeczeństwa. Formacja ta była mniej liczną niż w b. zaborze pruskim, a zwłaszcza austrjackim, gdzie względny dobrobyt włościaństwa umożliwiał przez pół wieku infiltrację poprzez stan urzędniczy do wszystkich pozostałych grup społecznych.

Struktura społeczna Polski była powszechnie uznana za złą. Nietylko brakło silnie rozrośniętych grup średnich, ale poziom kultury i stopa życiowa warstw niższych była zatrważająco niska.

To też zrozumiałemi są i reforma agrarna i obfitość ubezpieczeń społecznych. jeżeli uwzględnić cel społeczny, jaki tym poczynaniom przyświecał. Dotychczas jednak cel ten jeszcze nie został osiągnięty. Kryzys rolniczy całym ciężarem padł na najliczniejszy odłam producentów rolnych. — Ich stopa życiowa się obniża.

Kryzys w przemyśle nie odbił się tak wyraźnie na stopie pracujących. lecz uwzględniając udział niepracujących stwierdzić musimy obniżenie ogólnego poziomu proletarjatu miejskiego.

Najcenniejsza, jako podłoże z którego społeczeństwo rozrasta się zarówno w kierunku proletarjatu, jak burżuazji lub stanu urzędniczego, warstwa — drobnomieszczaństwo — w swej stopie życiowej coraz bardziej zbliża się do proletarjatu.

Utrudnione warunki egzystencji działają zniżkowo na poziom płac. Podaż taniej, niewykwalifikowanej robocizny ułatwia użycie jej jako służby osobistej. Stąd łatwość, wobec wzrastającej wartości pieniądza, dla niewielu posiadających, utrzymywania większej ilości ludzi w zależności od siebie. Odległość pomiędzy temi dwoma grupami społecznemi rośnie, a nie wypełnia się rozrostem warstw pośrednich; względnie rozrost ten nie jest tak szybki jak wzrastająca rozpiętość jaśniepaństwa i ludu.

Mamy więc, naskutek ogólnego zubożenia ludności, wzrost rozpiętości różnych warstw społecznych. Mamy, wskutek koncesji i przywilejów rzemieślniczych i t. p. wzrost ilości rzemieślników „nielegalnych", oraz rentjerów, t. zw. „ordynatów na koncesji". Ciekawe, że nawet handel, który z istoty swej działalności powinien żądać swobody i taniości obrotu, żąda „świadectwa uzdolnienia", żąda uprzywilejowania, będącego skądinąd koniecznem uzupełnieniem dzisiejszego stanu w dziedzinie podatkowej.

Brak, niestety, w dostępnej mi literaturze danych, dotyczących dyspersji dochodów różnych grup społecznych za poszczególne lata. Znam te cyfry jedynie dla roku 1929. Nie mogę więc przedstawić cyfr na poparcie tezy, która brzmi: „Znajdujemy się w okresie pogłębiania się różnic społecznych". Jest to ruch wsteczny w stosunku do naszych ideałów, w stosunku do celów, dla których poświęciliśmy niejedną wartość gospodarczą.

Na tak silnie zarysowującą się nędzę i obniżenie stopy życiowej wpływa też i podaż rocznego przyrostu rąk roboczych. Jest to czynnik niezmiernie utrudniający podniesienie ogólnej stopy życiowej, o ile nadal panować będzie wśród producentów i dystrybutorów tendencja zabezpieczenia sobie renty drogą rozbudowy systemu koncesji. Im więcej „ordynatów" tem więcej nędzy wśród „nielegalnych".

Im bardziej istniejące placówki są opancerzone przeciw bankructwom, tem silniej zaakcentują się różnice społeczne. Dochodzimy więc do paradoksalnego wniosku:

Aby podnieść dobrobyt trzeba otworzyć wrota bankructwu. Tak jest: aby podnieść stopę życiową trzeba potanić i towary i warsztaty; trzeba przeciąć fikcje obciążeń w nominale, której brak realnego pokrycia, trzeba ujawnić to bankructwo, które już jest.

I trzeba umożliwić zarówno produkcję, jak wymianę każdemu.

Interes Państwa, jako najwyższego wspólnego dobra wszystkich obywateli, państwa, jako Rzeczy Pospolitej, jako opiekuna całej ludności, jest tu wielokrotnie sprzeczny z interesem właścicieli szeregu monopoli. Jest sprzeczny z interesem tegoż państwa jako przedsiębiorcy.

Tu dochodzimy do, bodaj że najtrudniejszego, węzła w splocie obecnych omamień. Państwo, jako przedsiębiorca, miało być sprawiedliwym dystrybutorem dochodu społecznego. Państwo, jako przedsiębiorca, stało się jednym z najbardziej nie-

ugiętych obrońców własnego stanu posiadania, stało się największą zawadą i zaporą w dążeniu państwa do podniesienia ogólnego dobrobytu.

Czy naprawdę tytuł własności potrzebny jest, aby rządzić?, aby kierować przedsiębiorstwem? Bodaj, że jest to jeszcze jedno z tych złudzeń, któremi utrudniamy tylko istnienie polskiego narodu. Wobec wzrastającej nędzy, wobec pogarszającej się struktury społecznej, trzeba raz jeszcze poddać rewizji nasze stanowisko w tej prawie.

Niejeden z nas musi najsilniejszą na świecie miłość: miłość własną złożyć w ofierze celom wspólnym. Najwyższem dobrem gospodarczem nie jest majątek państwa, ale stopa życiowa obywateli. Jeśli nie możemy jej podnieść, to nie dopuszczajmy do jej dalszego spadku.

MELANJA BORNSTEIN-ŁYCHOWSKA

FRONT JEST SZERSZY

Stworzenie polskiego programu społecznego jest koniecznością wobec współczesnego rozwoju myśli społecznej. W programie tym musi być uwzględniony ciężar gatunkowy proletarjatu miejskiego.

Niepodobna zaprzeczyć, że polskie współczesne „nastawienie“ społeczne jest czemś zupełnie swoistem na tle stosunków — już nie europejskich, ale całego świata cywilizowanego. Tak bardzo swoistem, że nasi publicyści w tym dziale, gdzie wielu jest głośnych, a bardzo mało powołanych, szukając wzorów dla Polski, dochodzą — do Japonji (tam, jak wiadomo, osiągnięto ideały niskich kosztów produkcji — czytaj niskich płac — dla nas nieosiągalnych, przy zastąpieniu bowiem japońskiego ryżu polskim ziemniaczkiem „właściwie“ potrzeba okrasy). Minęły bowiem czasy, kiedy można było mówić o konkurencyjności moskiewsko-jarosławskiego przemysłu w stosunku do łódzkiego — dzięki dłuższej w Rosji dniówce roboczej, podobnie jak minęły czasy, w których „rozmach“ naszego rodzimego ustawodawstwa społecznego szedł wiernie śladami zachodniego sąsiada — bez oglądania się na to, czy hasła i drogi tamtejsze znajdą grunt w naszej strukturze ludnościowej i gospodarczej.

Można zresztą — przy lepszej znajomości rzeczy — znaleźć już nie w Azji, ale i w Europie kraj, i to kraj wielki, potężny, stojący u szczytów kultury, który nasuwa łatwe analogje z Polską pod względem dzisiejszej swej myśli społecznej, a raczej jednakowego tu i tam braku jakiejkolwiek rządzącej myśli społecznej. Zdaje się jednak, że jest to pośród tych wysokich szczytów jedyny wyjątek nam pokrewny. Gdy bowiem Wielka Brytanja, kraje skandynawskie, Szwajcarja, Holandja, Belgja i inne, wszedłszy raz na drogę postępu społecznego, wytrwale trzymają się obranego kierunku, co najwyżej zwalniając kroku lub zatrzymując się przy napotkaniu przeszkód natury gospodarczej; gdy dyktatorzy Włoch i Niemiec przebudowują ustroje państwowe w oparciu o nowe koncepcje społeczne—nie inaczej—*społeczne;* gdy cały wschód Europy od lat osiemnastu usiłuje przystosować praktykę swego istnienia do teorji uważanej do wczoraj za utopję; gdy na drugiej półkuli dokonywa się — niemniej dla tamtejszych poglądów rewolucyjne — przejście od nieograniczonego indywidualizmu w stosunkach między pracodawcą a robotnikiem do biegunowo przeciwnego okiełznania swobody tych stosunków w interesie robotnika — we Francji i w Polsce jesteśmy wciąż świadkami powoływania się na doświadczenia i poglądy... z przed stu lat, co nie przeszkadza zresztą... wprowadzaniu wielkich reform społecznych w obliczu kryzysu gospodarczego (ubezpieczenia społeczne!). Ta bezmyślność „słodkiej“ Francji na punkcie zagadnienia społecznego tłumaczy się konserwatyzmem gospodarczym tego najbardziej rewolucyjnego narodu, rentjerskim jego charakterem i ścieraniem się partyj politycznych.

A u nas?...

U nas poprostu są rzeczy, o których nie mówi się i nie myśli. Bywało, że ktoś, kto miał zwyczaj myśleć, rzucił wielkie słowo — i trzeba było je realizować. Realizowali je inni, nie znający ani idei, która kazała je powiedzieć, ani form, w jakie ideę tę przyoblec należało (stąd organizacja - reorganizacja). Opinja publiczna w sprawach społecznych przypomina u nas owego dzikusa, który, zobaczywszy i usłyszawszy budzik, naprzód się przeraził, potem zachwycił, a zostawszy jego właścicielem, zawiesił go sobie na sznurku na piersi.

Temu niezastanawianiu się nad zagadnieniami społecznemi, temu, powiedzmy poprostu, analfabetyzmowi społecznemu należy przypisać popularyzowanie się zapożyczonych haseł, które, jak już w innym związku zaznaczyliśmy, w naszych stosunkach często nic nie znaczą. Do takich papuzich okrzyków należy między innemi ogromnie nadużywane „Frontem do wsi!“. W Sowietach, gdzie wieś można, jako całość, przeciwstawić miastu, również jako całości, w rozumieniu przemysłu, i to wielkiego, hasło takie jest zrozumiałe. Przy takim ustroju jak w Polsce prostota jego mieści w sobie same niejasności. Wieś — jaka wieś: ta ze dworu, czy ta z chałup, czy ta z czworaków dworskich? a jeżeli z chałup, to z których: czy z tych, za któ-

remi jest dwadzieścia albo i trzydzieści mórg własności, czy z „naprawionych" na 2 — 3 morgi, czy z takich, za któremi niema żadnego gruntu? Dziś już nawet szeroka opinja mogłaby rozumieć, że to nie wszystko jedno. I mogłaby rozumieć, że owi bezrolni z czworaków dworskich i tacy „zwykli" bezrolni wiejscy, to jednak nie to samo co ciż sami bezrolni, osiedli od dwudziestu lat w Zawierciu, w Sanoku albo w Klesowie. Rozumiałaby, gdyby się tem interesowała.

Obojętność i beztroska Polski wobec zagadnień społecznych musi zdumieć każdego, patrzącego na mapę kraju wtłoczonego między narodowo-socjalistyczne Niemcy i komunistyczną Rosję, o ile ów ktoś nie wie, że ten kraj musiał w ciągu ostatnich 17 lat tworzyć sobie z mgławicy wszystko naraz i każdą rzecz zosobna: skarb, szkoły, wojsko, sądy, ustawy i administracje — aż do samego pojęcia państwa — własnego Państwa. Przy tak gorączkowej pracy hierarchja zaspakajania potrzeb bywa rozmaicie rozumiana, pewne elementy w tej hierarchji łatwo przeoczyć.

Nazajutrz po powstaniu listopadowem sejm warszawski także „przeoczył" sprawę chłopską, nie miał czasu obejrzeć się na to, co tuż za kordonem zachodnim świeżo wyczyniła reforma Stein-Hardenbergowska. Nie zdaje nam się jednak, by gorączka z okresu powstaniowego mogła usprawiedliwić to przeoczenie. Czy dziś nie powtarza się zamykanie oczu na zagadnienia społeczne, czy w najlepszym razie nie sprowadza się ich do tych spraw, które były żywe przed stu laty, ale obecnie zupełnie inny kształt przybrały?

Polska jest krajem rolniczym, ale nie wyłącznie rolniczym. Jeszcze jednym truizmem, który nie przeniknął dostatecznie do świadomości ogółu, jest fakt, że skończyło się z narodami pastersko - rolniczemi na wielkiem teatrum Europy. Mocarstwo złożone z świnopasów i ich dyplomatycznych placówek zagranicą nie jest tu do pomyślenia. Nawet argentyńskie prerje wymagają, prócz bydła i pastuchów, olbrzymich rzeźni i fabryk konserw. Nawet po osuszeniu błot poleskich nie starczyłoby na nich miejsca dla bielskich tkaczów i górnośląskich hutników, chociażby chcieli tam osiąść i mogli się utrzymać. Dobrze jeszcze, jeżeli ktoś się spostrzeże, że każdy unieruchomiony zakład przemysłowy oznacza zaprzepaszczenie kapitału, którego w Polsce bynajmniej nie jest zawiele. Ale i ten biada, że podtrzymuje się przedsiębiorstwa, „aby tylko dać zatrudnienie robotnikom", bez względu na racjonalność produkcji. Takie biadanie — niekiedy (rzadko) słuszne w zastosowaniu do tego lub innego przedsiębiorstwa — jest zupełnie niewystarczające w skali gospodarstwa narodowego. Właśnie zgórą przed stu laty niejaki Simon de Sismondi wytłumaczył, że gospodarstwo narodowe jest dla ludzi, nie zaś odwrotnie.

* * *

Gdy więc robotnik przemysłowy, robotnik miejski, jest w Polsce i być musi, myśl społeczna powinna liczyć się z jego wagą w strukturze społecznej. Drugorzędną przytem rzeczą jest, czy ten robotnik wraz ze swemi rodzinami stanowi 15% czy większy ułamek ludności. Niedawno dopiero uświadomiono sobie u nas zachodzącą na niekorzyść wsi dysproporcje spożycia wyrobów „przechodzących przez rynek", a niesłychanie niskie spożycie wsi nie stanowi bynajmniej objawu wyłącznie kryzysowego, jakkolwiek kryzys oczywiście pogłębił tę dysproporcję. Kalecki i Landau obliczają w roku 1929 spożycie robotników (poza rolnymi) na 4,3 miljrd. zł., spożycie wyrobów przemysłowych przez drobne rolnictwo i robotników rolnych na 2,3 miljrd. zł. Ta jednak okoliczność, że robotnik miejski jest spożywcą — poważnym odbiorcą produkcji prawie wyłącznie krajowej — przedstawia również okoliczność dalszego znaczenia przy ocenie jego wagi społecznej. Społeczny ciężar gatunkowy robotnika miejskiego polega przedewszystkiem na jego ruchliwości i przedsiębiorczości duchowej, których z natury rzeczy brak proletariuszowi wiejskiemu. Wszystkie nowoczesne rewolucje zrobił „tłum" miejski. Robotnik polski zaś zrobił manifestację na Grzybowie, kładł głowę pod szubienicę za niepodległość Polski, uznawał potrzebę tej niepodległości niejako na wiarę — bez rozumowania, bez znajomości historji, bez tradycji przodków. Podobnie jak robotnik w ośrodkach przemysłowych całego świata, stanowi materiał podatny pod zasiew ideowy, łatwopalny, promieniujący swym płomieniem w rozległym zasięgu. Ażeby był siłą twórczą — nie rozkładową lub burzącą — trzeba mu przedewszystkiem dać jeść. Ale nietylko jeść. Nie samemi ziemniakami i chlebem człowiek żyje.

UWAGI

CENY ROLNE

Ruch cen rolnych, zawsze interesujący jako symptomat odchylania się lub powrotu do równowagi w rozdziale dochodu społecznego — ostatnio zwraca tem bardziej uwagę, iż odbywa się w warunkach polityki zmienionej w porównaniu z latami ubiegłemi. Interpretacja zachodzących zjawisk i reakcja na nie jest zresztą różnoraka — w zależności od „szerszego" celu, do którego się je nagina.

Przedewszystkiem przypomnijmy, na czem polegają zmiany tegorocznej polityki. Mówiąc najkrócej, obok zmian organizacyjnych (zniesienie monopolu wywozowego PZPZ. i interwencji zbożowej) mamy 1), rozbudowę środków, zmierzających do ograniczenia podaży, (ulgi podatkowe, odroczenie egzekucji, powiększenie kredytów zbożowych), 2) objęcie pomocą dla eksportu rolnego szerszego wachlarza artykułów, przy zwiększeniu kwot na popieranie wywozu hodowlanego i zmniejszeniu dopłat do wywozu żyta, przyczem ogólna suma dopłat ulega redukcji.

Rozwój cen rolnych w ostatnim czasie przedstawia się mniej więcej następująco. Zwyżka trzody chlewnej rozpoczęta jeszcze przed końcem roku gospodarczego 1935 — 36 osiągnęła w sierpniu maximum, od połowy zaś września ceny nieco osłabły, utrzymując się jednak wciąż na poziomie stosunkowo wysokim. Inne artykuły hodowlane wykazują tendencję zwyżkową, niepomiernie jednak słabszą. Zboża przed żniwami zniżkowały, po żniwach nastąpiło krótkie ostre załamanie, poczem ceny zwyżkowały przy minimalnej podaży. Ostatnio zaznacza się tendencja nieco słabsza, poziom cen jednak jest niewiele niższy od zeszłorocznego, a biorąc ogólnie, wyższy od parytetu eksportowego. Inne artykuły roślinne wykazują tendencje zwyżkowa. *Ogólny wskaźnik cen rolnych podniósł się w porównaniu z zeszłym rokiem.*

Przebieg jak widać skomplikowany. Nie sprawdziły sie w każdym razie przewidywania pesymistów, którzy uważali parytet eksportowy za nieosiągalny bez interwencji PZPZ. i wróżyli, że „zanim artykuły hodowlane ulegną zwyżce spadek cen zboża zrujnuje rolnictwo". Wśród różnorodnych interpretacyj przebiegu zjawisk, istotnie wykraczającego poza oczekiwania trzeźwych optymistów, nie znajdujemy naogół przeceniania roli polityki gospodarczej, przypisywania jej omnipotencji. Jest to zjawisko zdrowe i pożądane na tle lat poprzednich. Jasnem jest, że chociaż polityka dążyła w tym kierunku, w którym wypadki poszły, nie mogła o nich sama zadecydować. Wyjątek stanowią niektóre głosy prasy, przypisujące szczególne znaczenie zmniejszeniu obciążeń rolnictwa, co rzekomo zdecydowało o wstrzymaniu przymusowej podaży. Stanowisko takie wydaje sie zbyt krańcowe, zważywszy, iż przewidziane ulgi podatkowe nie weszły jeszcze w życie, bo nie nadeszły jeszcze terminy danych płatności, ani tem bardziej nie gra jeszcze roli oczekiwana nowalizacja niektórych ustaw oddłużeniowych. Jeśli chodzi o odroczenie egzekucji, to pomimo wielkiego znaczenia tego posunięcia byłoby jednak przesadnem sprowadzanie problemu podaży do tego tylko zagadnienia. W okresie, o którym mówimy, w wydatkach rolnictwa wysuwa się zresztą zwykle na pierwszy plan co innego: wydatki produkcyjne i spłata zaciągniętych na przednówku zobowiązań. Tu oczywiście żadne normy ograniczające nie wpływały. Po stronie wydatków rolnictwa trudno zatem doszukać się przyczyn, któreby całkowicie wyjaśniły opanowaną i spokojną podaż ostatnich miesięcy, trudno — pomimo niewątpliwie łagodzącego wpływu zawieszenia egzekucyj i pomimo tego, że jak sądzę rzeczywiście dokonany został dalszy krok w kierunku obniżki kosztów produkcji i uporządkowania gospodarki zdrowszych warsztatów. Słowem, odcinek ten sprzyjał utrzymaniu wzgl. zwyżce cen, ale nie mógł o niem sam zadecydować. Wyjaśnienia trzeba szukać gdzieindziej, a mianowicie w równoczesnem i równoległem działaniu splotu przyczyn.

Najprościej sprawa przedstawia się w tych artykułach, gdzie zastosowano specyficzne formy ochrony rynku, lub gdzie wystąpiło zjawisko kurczenia się produkcji. Jeśli jednak idzie o trzodę chlewną np., to tu już opinja fachowców skłonna jest dopatrywać się kumulacji przyczyn takich, jak pewien niewielki (kilko procentowy, jak wskazuje G. U. S.) spadek pogłowia, sezonowe zmniejszenie podaży, zwiększenie wywozu niektórych produktów (smalec), sperandy traktatowe, silniejsza konjunktura światowa. Jeśli chodzi o zboża, brak tu momentów analogicznych do wzmiankowanych wyżej. Silniejszej tendencji światowej towarzyszyło u nas wstrzymanie eksportu i wzrost cen powyżej parytetu. Wobec tego, iż nie mieliśmy zakupów na magazyn, przyczyn szukać możemy jedynie i wyłącznie w zmniejszeniu podaży zbóż. Co mogło się na to złożyć? Trochę — wspomniane już poprzednio momenty z dziedziny wydatków rolnictwa. Trochę — pomyślniejszy znacznie niż w roku ubiegłym rozwój kredytów zbożowych. Trochę — zwiększenie zarobków przy robotach inwestycyjnych. Sądzić można również, że zwyżka cen hodowlanych mogła sprzyjać ograniczeniu podaży zboża, w czem leżałoby potwierdzenie — raz jeszcze — konieczności okrężnego wpływania na jego ceny. Ale „głosy terenu" kładą nacisk na moment inny. Na fakt, że kiedy przejściowo ceny żyta zniżkowały katastrofalnie, podaż ustała. Że, symbolicznie mówiąc, rolnik zawrócił z jarmarku do domu. Świadczy to raz jeszcze o słuszności dawno głoszonego poglądu, że skuteczność akcji interwencyjnej była ograniczona i że ceny, utrzymywane przez tę akcję, niewiele odbiegły od samorzutnie kształtującego się parytetu. Jeśli się zważy, że właściwie silne ograniczenie podaży nastąpiło tylko w dziedzinie żyta, nasuwa się supozycja, iż żyto było nietylko wypychane sztucznie przez obciążenia, ale i wypompowywane przez interwencje. Że podaż śpieszyła się, ażeby uchwycić moment, dopóki PZPZ. kupowały jeszcze na magazyn po niezłych cenach

Ta sumaryczna analiza potwierdza postawioną wyżej tezę wielorakości i złożoności przyczyn. Dodać należy, że pozytywne kształtowanie się cen rolnych umożliwione zostało dzięki „spokojnej“ reakcji konsumenta miejskiego, co oczywiście było warunkiem niezbędnym dla tego procesu. Odwracając to, należy uznać za szczęśliwą dla rozwoju cen rolnych okoliczność, iż w okresie jesiennym nie nastąpiła np. oczekiwana obecnie przez opinję obniżka płac, gdyż wtedy zwyżkowa tendencja cen musiałaby się spotkać z kurczeniem konsumcji i w rezultacie zwyżka mogłaby być nieosiągalna.

Tyle o *interpretacji* zjawiska. Co się tyczy *reakcji*, zasługują na uwagę odosobnione coprawda głosy, traktujące podwyższenie cen niektórych artykułów rolnych jako zjawisko o problematycznych walorach. Bynajmniej nie z punktu widzenia prymitywnie pojmowanego interesu konsumenta, czego w zasadzie możnaby się było obawiać. Zastrzeżenia rodzą się na tle doktrynalnego poglądu, iż nożyce można zamykać tylko od strony górnego ich ramienia i na tle kwestjonowania celowości ograniczania nawet dumpingowego eksportu zboża (pod kątem potrzeb bilansu handlowego). Wydaje mi się, że stanowisko takie zapoznaje niezmiernie doniosłe argumenty, które każą zwiększenie udziału wsi w dochodzie społecznym uważać za centralne zadanie naszej polityki gospodarczej. Centralnej nie dlatego, ażebym podzielał złudne w mem przekonaniu nadzieje na wydatne ożywienie tą drogą konjunktury, (co uzależnione jest w znaczniejszej mierze od innych czynników), ale dlatego, że obecny stan podziału dochodu stanowi nietylko jaskrawą klęskę społeczną, ale jednocześnie prowadzi do najdalej posuniętego marnotrawstwa gospodarczego. Nietylko bowiem niszczeje kapitał rzeczowy warsztatów rolnych, kapitał, który tylko w małym odsetku ma charakter „fałszywych inwestycyj“, czy inwestycyjnego luksusu, a zasadniczo stanowi niezbędne narzędzia wytwórczości—ale nawet „dyspozycja“ bieżącą produkcją ma charakter absurdalny. Głodowy eksport jest niewiele więcej wart od palenia kawy, czy zboża. A jedynie zwyżka cen przy równoczesnej redukcji obciążeń może poprzez zwiększenie konsumcji wiejskiej prowadzić do zlikwidowania „nadwyżek eksportowych“, których istnienie nie jest rezultatem zwiększonej produktywności gospodarstwa, lecz zmniejszonej konsumcji. Specyficzny charakter, jaki posiada wytwórczość rolna, niezdolna do kurczenia się przy zniżkujących cenach i do obrony tą drogą korzystniejszego poziomu cen, trudność niezwłocznego przeprowadzenie procesu likwidacji trupów, itd., zmusza ją do stosowania specyficznych metod. Rola, jaką w zachwianiu równowagi na szkodę wsi odgrywa protekcjonizm przemysłowy w kraju o przewadze rolnictwa, wyjątkowa sztywność, niektórych obciążeń wsi, oraz wielkie (przy niskim poziomie konsumcji) znaczenie podatków pośrednich i cen monopolowych—każą traktować politykę zwyżki cen rolnych nie jako proces sztucznego podtrzymywania rentowności pewnego odcinka życia gospodarczego, lecz jako niezbędną przeciwwagę dla czynników stale w naszym systemie gospodarczym przechylających szalę na niekorzyść rolnictwa. Rzecz inna, jakiemi drogami osiąga się zwyżkę cen: przez działanie bezpośrednie czy pośrednie (ta ostatnia metoda wydaje się naogół skuteczniejsza). W każdym razie wysiłki w kierunku podtrzymania obecnego poziomu cen rolnych są koniecznością. Nie można też jej podporządkować, ani niedającemu się narazie osiągnąć postulatowi zamykania nożyc od drugiej strony, od cen związanych, ani też polityce bilansu handlowego, gdzie kwestja takiego lub innego poziomu cen rolnych wyrazić się może tylko w postaci zupełnie skromnych wahań w naszym eksporcie, podczas kiedy uniezależnienie cen wewnętrznych od parytetu eksportowego jest jedyną możliwością wygrania tej wielkiej stawki, jaką jest zwiększenie dochodu wsi.

Czesław Bobrowski.

KRYZYSOWI ANALFABECI

To, co się czyta o sytuacji w szkolnictwie powszechnem, nie jest ostrzeżeniem, sygnałem zbliżającej się groźby. To stwierdzenie, że już jest źle, i to bardzo źle. Że państwo Polskie nie realizuje już w tej chwili zasady powszechnego nauczania, że „obowiązek szkolny“ jest martwą literą a prawo do nauki staje się przywilejem, dostępnym nie dla całej ludności. Liczba dzieci, nie objętych szkolnictwem powszechnem z roku na rok wzrasta, stanowiąc już w tej chwili poważny odsetek. Liczba analfabetów musi w konsekwencji także wzrosnąć. Może być ona mniejsza o tych, których czytać i pisać nauczą organizacje oświaty pozaszkolnej i wojsko, — większa o tych, którzy staną się analfabetami powrotnymi. Ale w każdym razie faktem jest, iż podstawowa funkcja współczesnego państwa: bezpłatne dostarczenie podstaw wykształcenia, nie jest w tej chwili u nas spełniana. Jeśli dobrze rozumiem specjalistów, wypowiadających się w tej sprawie, to podzielają oni pogląd, iż nie będzie ona nadal w pełnym zakresie wykonywana.

Może się mylę, ale mam wrażenie, że opinja publiczna nie docenia tej sprawy. Mam wrażenie, że podobnie jak osłabiona została wrażliwość na wszelkie zagadnienia kulturalne, tak samo też zmieniło się wartościowanie wielkiej sprawy oświaty powszechnej. Może dlatego, iż wielu sądzi, że nie czas żałować róż, gdy lasy płoną, może dlatego, że paradoksem wydaje się idylliczna szkoła z napisem na tablicy „budujmy okręty na własnej stoczni“*) z chwilą, kiedy do szkoły przychodzą dzieci bose i niedożywione. A może poprostu dla-

---

*) Przed kilkoma tygodniami w zapadłej wsi huculskiej w przeddzień rozpoczęcia lekcyj zaszedłem do „budynku“ szkolnego, a mówiąc ściślej do typowej ubożuchnej huculskiej chaty o dwóch izbach, z których jedną zajmuje szkoła. Słowa „budujmy okręty na własnej stoczni“, pozostałe na szkolnej tablicy od czasu ostatniej przedwakacyjnej lekcji, słowa równie dalekie i niepojęte dla huculskiego dziecka, jak dla towarzyszących mi dorosłych huculów, brzmiały niemal prowokacyjnie na tle rozmowy o egzekucjach podatkowych i o tem, ile czego można było niegdyś, a ile dziś kupić po sprzedaniu byczka.

tego, że poczucie tymczasowości naszego życia, poczucie niepewności i oczekiwanie jakichś zasadniczych zmian odbiera walor wszelkiemu „przedwojennemu" wartościowaniu? Tak czy inaczej, waga, jaką się odruchowo, emocjonalnie przywiązuje do zagadnienia oświaty, osłabła wyraźnie w społeczeństwie. Słowo „kaganiec" nie kojarzy się już w naszych pojęciach ze słowem „oświata", lecz wywołuje inne zupełnie, bardziej dwudziestowieczne asocjacje...

Z racji tych klęskowych zjawisk, o których mowa wyżej, można byłoby przypomnieć szkolnictwu polskiemu kilka podstawowych błędów w sposobie wykorzystywania tych sum, jakie społeczeństwo na oświatę jest w stanie przeznaczyć. Można byłoby wytknąć jaskrawe dysproporcje pomiędzy „stopą życia" poszczególnych odcinków szkolnictwa, można byłoby przypomnieć, że „qui trop embrasse, mal etreint". Można byłoby również zaprotestować przeciw obchodzeniu restrykcyj budżetowych i norm ogólnie obowiązujących takiemi drogami, jak np. obniżenie płac nauczycielskich w postaci półprzymusowych składek na utrzymanie praktykantów. Jak fundusze celowe i nieskończona ilość drobnych opłat pobieranych od uczących się, przy zachowaniu fikcji bezpłatności. Wszystko to są rzeczy ważne, na łamach „Gospodarki" miałem okazję poruszać je już dwukrotnie. Ale... Dziś sądzę, że sprawy te (nie tracąc nic na ważności same przez się), usuwają się na drugi plan. Na pierwszym planie stoi problem, który po sprowadzeniu go do prostej formuły przedstawia się poprostu tak: w obecnej chwili społeczeństwo polskie niestać na kształcenie swych dzieci, a obawiać się można, że stan taki potrwa dłużej. Stan taki dla ekonomisty daje się określić bardzo poprostu — jako marnotrawstwo i jako zaniechanie nakładów w dziedzinie, w której są one właśnie najwydatniejsze. Właśnie w warunkach polskich postęp oświaty jest (jak we wszystkich zresztą zapóźnionych w rozwoju krajach) kardynalnym warunkiem postępu gospodarczego. Niemożność zapewnienia oświaty znacznemu odsetkowi obywateli równa się postawieniu ich poza prądem postępu gospodarczego, równa się zmarnowaniu olbrzymich potencjalnych sił. Mamy tu do czynienia z klasyczną „oszczędnością nieoszczędną", choć jednocześnie nieuchronną.

Czy rzeczywiście nieuchronną? Rzeczywiście. Brak równowagi pomiędzy potrzebami szkolnictwa a możliwościami płatniczemi społeczeństwa ma przecież podłoże głębsze. Odcinek szkolnictwa jest jednym z tych, gdzie najwcześniej i najjaskrawiej wystąpiła dysproporcja pomiędzy przyrostem naturalnym a krzywą kurczącego się dochodu społecznego. Dziecko pozbawione szkoły jest towarzyszem dorosłego, pozbawionego pracy. Wnioski wynikające z tego stanu rzeczy są wielostronne, ale proste. Myślę o wnioskach, nasuwających się w płaszczyźnie najszerszej, w płaszczyźnie polityki gospodarczej, i wogóle polityki państwowej. Przedewszystkiem kryzys szkolnictwa powszechnego stanowi w mem przekonaniu jaskrawe memento dla tego kierunku myślenia gospodarczego, który w imię hypotetycznego, żeby nie powiedzieć fikcyjnego zdrowia gospodarczego domaga się rezygnacji z wszelkich zabiegów, zmierzających do t. zw. sztucznego zwiększania dochodu społecznego. Ażeby nie rozszerzać terenu dyskusji, nie podejmuję tu problemu, czy deflacja jest polityką słuszną. Przypuśćmy, że tak. Ale w takim razie na rachunku strat i zysków tej polityki musimy z całą świadomością obok bardziej i powszechnie znanych (choć różnie ocenianych) wyników wpisać również załamanie akcji oświatowej, niemożność zapobieżenia wzrostowi analfabetyzmu.

To po pierwsze. Po drugie zaś nie sądzę. ażeby można było się ograniczyć do tego rodzaju konstatacji i patrzeć na sprawę z założonemi rękami. Jeśli jakaś najistotniejsza potrzeba społeczna nie jest zaspakajana na normalnej drodze gospodarki budżetowej, jeśli zaspokojenie jej tą drogą jest przez dłuższy czas niemożliwe, musimy się uciekać do prymitywu: do szarwarku, ofiar w naturze dla powodzian, przymusowych pożyczek i świadczeń wojennych. Jeśli w imię pewnej linji polityki gospodarczej stawiamy zaspokojenie elementarnej potrzeby poza obrębem gospodarki normalnej, budżetowej, musimy ją rozwiązać na drodze, że się tak wyrażę poza-rynkowej. Wybór trzeciego rozwiązania — przejście do porządku nad niezaspokojoną potrzebą. jest najłatwiejszy coprawda na dziś, ale najkosztowniejszy w perspektywie kilku pokoleń.

Zatem... Zatem, nie widzę innego rozwiązania sprawy oświatowej dla tej nadwyżki dzieci w wieku szkolnym, która nie może być objęta szkolnictwem powszechnem, jak na drodze wysiłku społeczeństwa, na drodze bezpłatnego nauczania przez jednostki czy organizacje społeczne. Czy można na to liczyć? Czy hasła, rzucane w prasie „naucz czytać jednego analfabete" znajduja echo? Zdaje się, że nie. Czyżby i ta możliwość miała pozostać zamknieta? Czy rzeczywiście nie zdołamy zorganizować kampanji walki z analfabetyzmem, tak, jak ją zdołała zorganizować w okresie największego wysiłku gospodarczego i największej nędzy Rosja Sowiecka? Obawiam się, że brak nam tej dynamiki, która pozwalałaby liczyć na samorzutne podjęcie wysiłku przez społeczeństwo. W takim razie rozwiązanie sprawy mogłoby nastąpić jedynie na drodze stosowania przymusu. *Obowiązek szkolny* należałoby uzupełnić *przymusem nauczania*. Czy wkraczamy w dziedzinę fikcji? — Nie wiem. W każdym razie stoimy wobec konfliktu trzech zasad: wobec konfliktu pojmowanej w pewien sposób polityki gospodarczej z kardynalną w naszych warunkach zasadą społeczną, prawem do płacy za pracę i z jedną z podstaw współczesnego demokratycznego społeczeństwa, jaką jest nauczanie powszechne. Na długi dystans ofiara z tego ostatniego postulatu wydaje mi się połączona z największemi stratami.

c. b.

CZESŁAW BOBROWSKI

ZASTRZEŻENIA

1. Minister Ignacy Matuszewski zdobył sobie pozycję wyjątkową. Opinja szuka w jego artykułach wyjaśnienia dla polityki rządowej wtedy, kiedy wyjaśnienia nie padają z ust oficjalnych, opinja skłonna jest dopatrywać się jego inspiracji nawet w tych posunięciach, o których nie jest wiadomem, ażeby następowały z jego udziałem. Jeśli się skutkiem tego z uwagą śledzi „zwykłe" i niepodpisane artykuły Ministra Matuszewskiego, to serja wstępnych artykułów, opublikowana w „Gazecie Polskiej" staje się już ewenementem. Tem bardziej, że artykuły te mówią o zagadnieniu, o którem pisze się, mówi i szepce najwięcej, że wychodzą z postulatu zerwania z połowicznością i wewnętrznemi sprzecznościami polityki gospodarczej. Tem bardziej, że rozpoczynają się podkreśleniem czysto osobistego charakteru poglądów i braku jakiegokolwiek oficjalnego stempla, a zatem mogą być uważane za wypowiedzenie się bez reszty i ogródek.

Polemika z temi artykułami jest niezmiernie trudna. Przedewszystkiem dlatego, że rozmiary tej polemiki musiałyby dla wyczerpania zagadnienia przekroczyć, i to wielokrotnie, ramy, w jakich zamknięta została programowa serja Ministra Matuszewskiego. Fantastyczny dar publicystyczny pozwolił Autorowi zamknąć w trzech artykułach szkic teoretyczny, djagnozę, ustalić cele i środki polityki gospodarczej — wszystko związane w serję, w której każde ogniwo ma wyrastać z poprzednich. Otóż łatwo polemizować z artykułem, zawierającym jedną tezę, wyposażoną w szereg argumentów. Trudno natomiast — jak w danym wypadku — przejść pokolei każde ogniwo rozumowania. Rozumowania, w którem z jednem łatwo się zgodzić, a z czemś innem trudniej. Dlatego czytelnik nie znajdzie w poniższych wywodach analizy kompletnej.

2. Zgodnie z tradycją, którą na łamy prasy polskiej wprowadziła bodajże „Gazeta Polska", pojęcie deflacji jest w artykułach Ministra Matuszewskiego niezmiernie rozszerzone. Wbrew definicji klasycznej, która inflacją nazywa „zwiększenie siły nabywczej społeczeństwa przez emisję pieniądza lub liberalne udzielanie kredytu — i to wówczas, gdy nie jest ono wywołane poprzednim wzrostem obrotów i dochodu społecznego", zaś za deflację uważa „zmniejszanie obiegu lub likwidację kredytów — co oczywiście wpływa ograniczająco na zdolność nabywczą ludności"*). Jako przykład posunięcia deflacyjnego pierwszy z artykułów serji wymienia zniesienie interwencji zbożowej, inflacyjnego (powściągliwie) — rozpisanie pożyczki inwestycyjnej. W płaszczyźnie podanych wyżej definicyj interwencja zbożowa mogła mieć charakter inflacyjny o tyle tylko, o ile była inflacyjnie finansowana, przy pokryciu natomiast kosztów interwencji z budżetu stałaby poza płaszczyzną deflacji czy inflacji, byłaby niejako posunięciem „neutralnem". Taksamo pożyczka inwestycyjna, pokryta w lwiej części z bieżących dochodów pracowników najemnych — w zasadzie jest tylko *przesunięciem* w spożyciu, przesunięciem od spożycia zatrudnionych do spożycia dotychczas niezatrudnionych, od spożycia artykułów konsumcji bezpośredniej do konsumcji dóbr inwestycyjnych.

Ta różnica terminologiczna pociąga za sobą konsekwencje praktyczne. W konstrukcji Ministra Matuszewskiego oszczędności budżetowe, poniechanie finansowania imprez i potrzeb, nie zajmujących wysokiego miejsca w hierarchji celów Państwa, zniżka cen, redukcja obciążeń sztywnych i deflacyjna polityka kredytowo - pieniężna stanowią jedną — i jedyną — organiczną całość. W mem przekonaniu polityka nakręcania konjunktury, a więc bądź inflacyjnie finansowane roboty publiczne, bądź też równoważenie budżetu nie w drodze podwyżki czy usztywnienia obciążeń względnie cen monopolowych lecz w drodze operacyj kredytowych — może i powinna logicznie łączyć się z usunięciem z budżetu państwowego tego wszystkiego, co stanowi drugo i trzeciorzędne potrzeby. Podobnie też nie widziałbym sprzeczności tam, gdzie napozór sprzeczność taka powstaje, a mianowicie pomiędzy dążeniem do wywołania zwyżki cen na odcinku niezwiązanym, a dążeniem do obniżenia cen związanych, kartelowych i monopolowych. Przeciwnie, sądzę, że gdyby się nawet chciało tego uniknąć, to zniżka cen związanych musi sprzyjać a niekiedy nawet wywoływać zwyżkę cen wolnych. O ile bowiem poprzez obniżenie kosztów produkcji zniżka cen związanych działa na zniżkę cen wolnych, o tyle wręcz przeciwnie, zwalniając część zdolności nabywczej, uwięzionej przez ceny monopolowe i kartelowe, rozszerza popyt i zwiększając produkcję podnieca zwyżkowy ruch cen na odcinku niezwiązanym.

Zgadzam się natomiast wpełni z twierdzeniem, implicite zawartem w artykule Ministra Matuszewskiego, a wyraźnie wypowiedzianem i szeroko umotywowanem w artykule Dyr. Leona Barańskiego, iż deflacji od dłuższego czasu w Polsce nie mamy (jeśli pozostaniemy przy klasycznem pojmowaniu tego słowa). Mamy politykę kredytową i pieniężną niezmiernie — choć nie bez odchyleń — bliską klasycznej, niezmiernie bliską neutralności. Odchyleniem jest np. to, że nasza polityka nie wyłącza ochrony przedsiębiorstw zbankrutowanych, (zaniechanie tej ochrony wydaje mi się koniecznem uzupełnieniem wszelkiego konsekwentnego programu deflacji integralnej), że nie dobija trupów, chociaż nie ożywia „sztucznie" zdrowych. (Pominęmy spór o ile ożywienie inflacyjne może być trwałe). Jeśli operacjami kredytowemi równoważymy budżet, to albo ma to charakter gospodarczo zbli-

*) Leon Barański, Legenda Deflacji, „Gazeta Polska" z dn. 29. IX. 1935.

żony do podatku, (Pożyczka Narodowa), albo wykorzystuje środki skapitalizowane, które tem samem nie idą na cele produkcyjne (pomijam, czy w okresie cen stale spadających poszłyby one na ten cel), albo wreszcie, jeśli już uciekamy się do operacyj kredytowych innego typu, to mają one, przy skromnym zresztą raczej zakresie, charakter, że się tak wyrażę, „inflacji ex post". Są dokonywane wtedy, kiedy już spadek dochodu społecznego i związany z tem spadek wpływów skarbowych nie pozwala na zrównoważenie budżetu, nie zaś po to, ażeby drogą poprzedniego ożywienia życia gospodarczego wzmóc wpływy skarbowe i po okresie przejściowym zrównoważyć budżet drogą okrężną. Dlatego też nasza polityka nie jest polityką inflacyjnego nakręcania konjunktury, chociaż od lat trzech przestaliśmy stosować jaskrawo deflacyjne zabiegi.

3. Każde posunięcie polityki gospodarczej musi wnosić zmiany w podziale dochodu społecznego. Proces tworzenia się dochodu i jego podziału nie są dwoma odrębnymi procesami, lecz jednym procesem, oglądanym pod dwoma kryterjami, mierzonym na dwa sposoby. W bardzo tylko szczególnych warunkach wzrost dochodu, czy to spowodowany świadomą polityką, czy wynikający z automatyzmu, mógłby nie wywoływać zmiany w podziale. Natomiast stwierdzenie to nie daje się odwrócić w ten sposób, ażeby wykluczyć zwiększenie dochodu społecznego inną drogą, niż poprzez samo tylko dzielenie danego dochodu. Można do domu o trzech pokojach i jednej kuchni dobudować dwa pokoje. Podział na kuchnię i pokoje będzie odrębny niż poprzednio, ale sens operacji polegać będzie nie na zmianie podziału, a na zwiększeniu ilości ubikacyj mieszkalnych. Natomiast zmiana, polegająca na przebudowie kuchni na jeszcze jeden pokój miejsca nie przysporzy. Mało zanalizowany związek pomiędzy wielkością dochodu, a niektóremi postaciami jego podziału, jest oczywiście bardziej złożony, w każdym razie jednak stwierdzenie, że polityka gospodarcza zawsze musi wywoływać przesunięcia w podziale dochodu społecznego nie zawiera w sobie przesłanek dla dowiedzenia, że nie może tego dochodu zwiększać. Przesunięcia w dochodzie są zresztą przy wysiłkach polityki gospodarczej, zmierzających do zwiększenia dochodu społecznego, takim samym wtórnym wynikiem, jak wspomniana wyżej „zmiana podziału na kuchnie i pokoje" przy rozbudowie domu.

Przywrócenie równowagi w rozdziale dochodu, zachwianej na niekorzyść rolnictwa, uważam za *naczelny postulat* polityki gospodarczej w warunkach polskich. Nędza wsi jest katastrofą społeczną i gospodarczą. Nietylko cofa nas wtył w rozwoju gospodarczym, nietylko stanowi jeden z hamulców ożywienia, nietylko niszczy fizyczne i psychiczne siły chłopa polskiego, ale grozi rozprzęganiem coraz bardziej doniosłych dla społeczeństwa i Państwa więzadeł. Jest to dewastacja, która musi być ukrócona, w przeciwnym bowiem razie przez lata całe będziemy czuli jej ciężar na sobie. Ze względu na moment historyczny i położenie geograficzne naszego kraju nie możemy obciążać młodej państwowości takim ciężarem, — abstrahując nawet od najważniejszego w tej sprawie momentu, od głęboko we współczesnem społeczeństwie zakorzenionego poczucia, iż jednem z najważniejszych zadań polityki gospodarczej musi być choćby częściowe realizowanie zasad sprawiedliwości społecznej.

Zatem podzielam ten punkt widzenia, który za „cel bliższy" uważa zwiększenie udziału rolnictwa w dochodzie. Natomiast wątpliwem wydaje mi się, ażeby ten środek *sam przez się* mógł stanowić o zwiększeniu się dochodu społecznego. Przeciwnie skłonny byłbym uznać za prawidłowy, (nie uważając zresztą podobnej tezy za punkt wyjścia dla polityki), wywód, prowadzący do wniosku, iż w pewnych warunkach mogłaby nastąpić poprawa konjunktury, nie obejmująca chwilowo rolnictwa. Rolnictwo żyje w olbrzymiej części w świecie pozarynkowym. Konsumcja rolnicza jest wielkością skromną w porównaniu z konsumcją innych warstw społecznych, a w szczególności z wewnętrzną konsumcją przemysłu, idącą na obsłużenie procesu inwestycyjnego wtedy, kiedy się on odbywa. Produkcja rolnicza pomimo skromnego dziś udziału wsi w dochodzie społecznym zniżki nie wykazuje, a zwyżka nie znalazłaby rynków zbytu dla siebie. Inwestycje rolnicze poza procesem parcelacyjnym, który istotnie jako wielkie nasilenie ruchu inwestycyjnego mógłby wydatnie przyczynić się do ożywienia konjunktury, mogą mieć charakter zupełnie tylko skromny.

Czy zwiększenie udziału wsi może sprzyjać samorzutnemu podjęciu procesów inwestycyjnych przez inicjatywę prywatną? Owszem. Wtedy, kiedy zaistnieją również inne warunki potemu. Bez ożywienia ruchu inwestycyjnego pokrajanie bochenka zwiększy transzę, przypadającą na rolnictwo, ale bochenek pozostanie niezmieniony, innym więc przypadną zmniejszone kawałki. Jeśli się zestawi obecne rozmiary dochodu rolnictwa z dochodem innych grup, trzeba nietylko usprawiedliwić, ale nawet uznać za celowe nałożenie ofiar, a raczej zniesienie przywilejów, których koszta ponosi chłop. Ale *obopólny* interes, tkwiący w takiej operacji, polega na *wzmocnieniu podstawy, nie zaś na zwiększeniu budowanego na tej podstawie dochodu społecznego*. Zwiększenie udziału wsi w dochodzie społecznym jest koniecznością, jest nawet obowiązkiem państwa (polityka celna, kartelowa i t. d. są doniosłymi czynnikami zachwiania równowagi) ale w płaszczyźnie konjunktury nie stanowi wystarczającego remedium na dzisiejszą sytuację.

4. Czy istnieją środki zwiększenia dochodu społecznego? Odpowiedź jest klasyczna. Zwiększenie następuje wtedy, kiedy zwiększa się prywatny ruch inwestycyjny. Jeżeli z szeregu przyczyn (o których częściowo wzmiankować będę w następnym punkcie artykułu) inwestycje prywatne nie dają się podniecić, można się uciec do inwestycyj publicznych, finansowanych inflacyjnie. Pomijając starą dyskusję, czy kredyt *stwarza* nową siłę nabywczą, czy tylko *dzieli* ją inaczej, można twierdzić z całą pewnością, że inwestycje takie wpływają szybko i bezpośrednio na ożywienie gospo-

darcze. Przedmiotem sporu mogą być tylko następujące zagadnienia: 1) czy możliwem jest inflacyjne nakręcanie konjunktury bez załamania waluty; 2) czy nakręcanie konjunktury w skali jednego kraju może się okazać trwałe; 3) czy słusznem jest nakręcać konjunkturę zanim nastąpią wszystkie bez reszty procesy likwidacyjne, czy w tym wypadku „przedwczesne" ożywienie konjunkturalne nie sprzyja konserwowaniu zarodków przyszłej choroby. Słowem: czy nakręcanie inflacyjne jest tylko niebezpiecznym zastrzykiem, czy środkiem, niepozbawionym wad, (jak każde narzędzie polityki gospodarczej), ale dającym większe od tych wad rezultaty. Oczywiście, że nakręcanie konjunktury wnosi zmiany podziału dochodu społecznego. Nie sądzę jednak, ażeby słusznym był pogląd, że zwiększa ono ciężar opodatkowania. (w związku ze spłatą zaciągniętych długów). Przeciwnie, sadzę, że ciężar opodatkowania maleje, gdyż opodatkowana baza wzrasta. Główne przesunięcie, wynikające z nakręcania konjunktury, polega na przenoszeniu zdolności nabywczej z rąk *kapitału finansowego* w takiej lub innej formie, do *rąk produkujących*.

Rozstrzygnięcie pytań, postawionych wyżej, nie może nastąpić w oderwaniu od momentu czasu, w którym decyzja miałaby być podjęta. Nie kusząc się w ramach tego polemicznego artykułu o odpowiedź, pragnę jednak zasygnalizować kilka przesłanek, które wydają mi się szczególnie ważne. 1) Deflacyjna polityka również nie może gwarantować utrzymania waluty inaczej, jak za cenę zastosowania w razie potrzeby drakońskich środków. Mianowicie, samorzutna przy deflacji poprawa konjunktury jest w zasadzie dla kraju o skromnych rezerwach równie groźna, jak poprawa sztuczna. Zapobiedz niebezpieczeństwu walutowemu *napewno* można tylko drogą hamowania wszelkiej poprawy w kraju dopóty, póki nie utrwali się ona na świecie. 2) Nakręcanie konjunktury zagranica narasta. Sądzę, że musi ono narastać, bowiem kryzys światowy doszedł w swym rozwoju do punktu, w którym w większości krajów nakręcanie stało się naczelnym postulatem społeczno - politycznym, a przecież o wyborze dróg dla polityki gospodarczej decydują wszędzie i zawsze momenty społeczno - polityczne. 3) Postulat uzdrawiania przez deflację inaczej musi być oceniany przy wskaźniku produkcji 80, a inaczej wtedy, kiedy wskaźnik ten wynosi 60 czy 40. Operacje chirurgiczne nie mogą być przeprowadzane na organizmie wycieńczonym i nie dają się przeprowadzać na raty.

5. Termin „niskie ceny" jest wieloznaczny. Przypuszczam, że niema ekonomisty, który nie zgodziłby się z postulatem „niskich cen" pojmowanym w sposób najogólniejszy, t. zn. jako niskie koszta produkcji w sensie niskiego nakładu kapitału i pracy dla wytworzenia dóbr ekonomicznych. Odmiennie przedstawia się postulat niskich cen, jeśli nadamy mu formę bardziej konkretną, rozumiejąc przezeń ceny „niskie" w złocie czy jednostce pieniężnej. W tym wypadku postulat niskich cen ma znaczenie w związku z problemem obrotu zagranicznego jedynie i może być realizowany dwojako: poprzez obniżenie bądź cen, bądź kursu jednostki pieniężnej. Jest jeszcze jeden kąt widzenia, najważniejszy. Poziom cen względny, nie w stosunku do złota czy cen światowych, lecz w stosunku do cen w tym samym kraju, ale w innym momencie czasowym. W płaszczyźnie zagadnienia dochodu społecznego ten ostatni kąt widzenia wydaje mi się najważniejszy. W rzeczywistości gospodarczej niema zresztą cen „wysokich" czy „niskich", gdyż ceny w miejscu nie stoją, lecz ulegają fluktuacji. Mamy zatem ceny *zniżkujące* lub *zwyżkujące*. Ponieważ część składników kosztów wytwórczości (obciążenia publiczne, koszt kapitału), zniżkuje zawsze z opóźnieniem, więc też cenom zniżkującym towarzyszy zjawisko zmniejszania się rentowności. Zmniejszanie się rentowności powoduje z kolei kurczenie wytwórczości (z poprawkami, jakie należałoby tu wprowadzić w płaszczyźnie zagadnienia związań gospodarczych i kosztów stałych). Jeśli z pewnych przyczyn nie nastąpi nawet ograniczanie wytwórczości, (co widzimy w rolnictwie), zmniejsza się obsługa wierzycieli i świadczeń publicznych. „Zyski" wierzyciela i pracowników najemnych okazują się iluzją, bo zatrudnienie i wypłacalność maleją. Konsumcja kurczy się, ceny dalej spadają, aż do momentu, kiedy koło pocznie się kręcić w odwrotnym kierunku. Ten moment zaś następuje wtedy, kiedy naskutek szczęśliwego rozwiązania procesów przystosowawczych na jakimś odcinku pojawia się rentowność i możliwość zwiększania produkcji. A zatem...A zatem postulat cen *zniżkujących* równałby się postulatowi *redukowania* wytwórczości, *zmniejszania* dochodu społecznego — czyli, na stałe jest niemożliwy. Oczywiście, że nie w ten sposób pojmuję odnośne wywody Ministra Matuszewskiego. Rozumiem, że obniżenie ogólnego poziomu cen miałoby na celu umożliwienie zwiększenia produkcji, co pociągnęłoby za sobą samorzutny wzrost cen. W tym wypadku jednak spór pomiędzy dwoma doktrynami, doktryną dalszego obniżenia cen i inflacyjnego ich podwyższenia sprowadza się do określenia momentu w czasie, kiedy zwyżka może nastąpić. Osiągając na drodze deflacyjnej cel zwiększenia dochodu społecznego, z czasem musi się stanąć wobec tych problemów, które przy nakręcaniu konjunktury wyłoniłyby się wcześniej. Niezależnie od punktu wyjścia postulat niskich cen (pojmowany mniej ogólnikowo niż jako zasada ekonomji nakładu) nie może być postulatem trwałym. Potwierdzenie tego generalnego rozważania znajdujemy, analizując np. kwestję cen rolnych. Zniżka obciążeń rolnictwa i kosztów produkcji rolnej (a więc realizacja zasady niskich cen w jej ogólnem znaczeniu) prowadzi w konsekwencji do zmniejszania przymusowej podaży płodów rolnych, a zatem do zwyżki ich cen.

W płaszczyźnie zagadnienia zwiększenia dochodu społecznego poprzez zwiększenie udziału w obrocie światowym sprawa cen przedstawia się trudniej. Istotnie, zwyżka cen musi wpływać hamująco na eksport, istotnie musi ona pobudzać import. Ale tu znów nawracamy do tego samego problemu, o którym mówiliśmy wyżej kilkakrotnie. Nie możemy wykluczyć zwyżkowego ruchu cen

i wynikających stąd trudności dla bilansu handlowego inaczej, jak drogą zapobiegania poprawie konjunktury. Dostosowanie się do poziomu cen światowych jest przytem tem trudniejsze, iż istnieją tam jaskrawe anomalje. I tak np. dopóki istnieją w skali światowej nożyce cen przemysłowych i rolnych, nie moglibyśmy mówić o zamykaniu nożyc u nas przy zachowaniu eksportu rolnego. Jakąkolwiek drogą podejdziemy do sprawy zwiększenia udziału rolnictwa w dochodzie, zawsze uzyskamy zwyżkę cen rolnych, a przy podwyższonej cenie i zwiększonej konsumcji wiejskiej nasz eksport zbożowy np. musi ulec jaskrawej redukcji. Dodajmy wreszcie, że zagadnienie obrotów zagranicznych ma drugą stronę medalu, kwestję pojemności rynku polskiego na towary importowane. Skurczenie się tej pojemności jest bezwątpienia jednym z głównych źródeł trudności, jakie w dzisiejszych czasach powszechnych dążeń do zrównoważenia bilansu handlowego, napotyka nasz eksport. I jeszcze jedno. Czy rzeczywiście przy dzisiejszej sytuacji w handlu międzynarodowym cena odgrywa rolę głównego regulatora obrotów?

6. Kapitalizacja jest z pewnością jedynym trwałym środkiem zwiększania naszego uzbrojenia gospodarczego, jedyną podstawą, na której dochód społeczny może wzrastać trwale i spokojnie. Z chwilą jednak, kiedy procesy dekapitalizacji rzeczowej zdają się postępować szybciej, aniżeli oszczędność pieniężna, punkt ciężkości zagadnienia kapitalizacji przenosi się, jak sądzę, z zagadnienia oszczędności pieniężnej na problem kapitału produkcyjnego. Zresztą i z punktu widzenia oszczędności pieniężnej równie ważną, a może nawet ważniejszą od kwestji stałości waluty sprawą, jest sprawa poziomu wytwórczości. Spadek wytwórczości podcina realną, rzeczywistą wartość lokat. Wkłady zaś warte są akurat tyle, ile są warte dokonane z nich lokaty. (Z poprawką techniczną na udział czynników trzecich, np. gwarancji Państwa). Ponadto oszczędność o tyle jest produktywna gospodarczo, o ile takie momenty, jak rentowność, zachęcają do lokat produkcyjnych. Wreszcie możliwości kapitalizowania są najściślej zależne od możliwości wygospodarowania dochodu. Słowem, wzrost kapitalizacji wydaje mi się automatycznym wynikiem wzrostu dochodu społecznego, postulatem pierwszorzędnym pod względem znaczenia, ale wtórnym w tym sensie, iż realizowanym drogą okrężną, poprzez zwiększenie wytwórczości.

7. Ażeby w pewnej mierze ssyntetyzować te wyrywkowe uwagi, chciałbym zaznaczyć, że powyższe zastrzeżenia w stosunku do tez p. Ministra Matuszewskiego wyrastają, jak sądzę, na podwójnym gruncie. Po pierwsze, staram się kłaść jak największy nacisk na traktowanie procesów gospodarczych jako zjawika dynamicznego, jako zjawiska, które odbywa się nietylko w trzech wymiarach przestrzennych, ale i w czasie. Jeślibym np. szukał obrazowego określenia dla dochodu społecznego, to nie widziałbym tu *bochenka* do pokrajania, a raczej *sad*. Sad, którego owoce dobrze podzielone mogą wystarczyć dla nakarmienia właścicieli. Sad, który aby nie zdziczał i nie wyrodził się, wymaga nieraz sekatora i piłki ogrodnika. Ale który też w latach posuchy domaga się wody i który, jeśli nie ma przestać owocować, *musi* dostać swoją porcję „sztucznych" nawozów — chociażby kupionych na kredyt, narazie bez pokrycia. Kiedy już sad obrodzi — kredyt można będzie zapłacić.

Druga różnica, to określenie celów. Ekonomja pozwala nam poznać mechanizm procesów życia gospodarczego, pozwala określić środki dla osiągnięcia celów. Cele polityki ekonomicznej wytyczane są przy walnym współudziale czynników pozagospodarczych. Niezależnie zresztą nawet od tych czynników, cele bieżącej polityki konjunkturalnej zależą od takiego lub innego pojmowania drogi rozwoju na dłuższej fali. Mam wrażenie, że w tej hierarchji wartości, na której zbudowana została koncepcja p. Ministra Matuszewskiego, najsilniejszy akcent położony został na cele dalsze, pojmowane jako stopniowy w kilku pokoleniach rozwój gospodarczy o formach kapitalistycznych. Chwila bieżąca rozpatrywana jest przedewszystkiem jako punkt wyjścia dla przyszłości. Tym, którzy przenoszą akcent właśnie na chwilę obecną, domagając się doraźnego działania, zarzuca się zwykle, iż stracili nerwy. Subjektywna ocena rzeczywistości społecznej i gospodarczej jest podstawą, do rozstrzygania w tej sprawie. Oczywiście jeśli się nie uzna naszego wskaźnika wytwórczości za dostatecznie wymowny.

NOTATKI

NA SZMELC

Nastrój wojenny nie ustępuje. Groza burzy trwa od miesięcy. Cała Europa się gotuje do tego, co ją czeka.

Niech na całym świecie wojna,
Byle Polska wieś wesoła,
Byle Polska wieś spokojna.

W żelazie jesteśmy pasywni. Krajowa produkcja metalu — wytop z rud krajowych jest mniejszy niż zużycie roczne przez rdzewienie plus strata na przerobienie rodzimego złomu oraz eksport. Różnicę pokrywa przywóz: przywóz złomu i przywóz rud.

W razie zamknięcia dowozu morskiego, skazani jesteśmy na jedno źródło, na rudy Krzyworoskie, importowane koleją przez Zdołbunów. Skazani jesteśmy na korzystanie z usług monopolisty, który nie omieszka tę sytuację wyzyskać.

Nie tylko zresztą brak nam żelaza. W kraju nie ma dostatecznych zapasów miedzi na wypadek zwiększonego zapotrzebowania przy jednoczesnem zablokowaniu przywozu. Szwecja robi sobie rezerwę mob. na dachach monumentalnych budynków, krytych nie blachą a płytami miedzianemi. — Dachy te pochodzą z subskrypcji narodowej. Każdy ofiarodawca może aż do czasu przetopienia „uwiecznić“ swe nazwisko na ofiarowanej płycie.

U nas też lśnić będzie miedź na dachu — Prezydjum Rady Ministrów — Używamy tam — blachy miedziowanej. — Nie jest to rezerwa mob.

Gospodarka Narodowa pisała, gdy nikt jeszcze o wojnie nie myślał, że koniecznem jest stworzenie rezerwy metali półszlachetnych: molibdenu, wanadu, wolframu i chromu w bilonie, na wzór zapasu niklu. Przypuszczaliśmy wówczas, że w razie zapowiedzi niepokojów nikt nie będzie ograniczał dowozu żelaza i miedzi.

Tymczasem omyliliśmy się. W imię „równowagi bilansu handlowego“ ogranicza się przywóz również i innych niezbędnych surowców. W razie wybuchu katastrofy będziemy bez juty, bez bawełny, bez miedzi, z małym zapasem żelaza i może wystarczającym zapasem cynku, wystarczającym aż do chwili wygazowania kresów południowo zachodnich.

s. m.

URZĄD A URZĘDOWANIE

Urzędy Skarbowe są zawalone pracą. Funkcjonarjusze nie mają czasu przestudjować aktów. Stąd niepotrzebne ciąganie obywatela, aby składał zeznania zbędne, aby powtarzał to, co urząd ma w aktach.

Dwa przykłady:

Starsza pani sprzedaje swą posagową sumę hipoteczną. Co roku w zeznaniu o dochodzie w specyfikacji dochodu podawała numer hipoteczny nieruchomości, nazwę ulicy i numer policyjny domu, z którego płynął jej dochód. Sumę sprzedała. W następnym roku zostaje wezwana przed oblicze Urzędu:

— Gdzie dochód z sumy hipotecznej?

— Niema dochodu, bo suma sprzedana.

— Komu?

— Nie pamiętam nazwiska nabywcy. Adwokat X. przygotował u rejenta Y. akt; przyszłam, podpisałam, dostałam pieniądze, nabywcy nie znam.

— Pani *musi* mi dostarczyć jego adres.

— Nie jestem w stanie.

— Niech pani od rejenta zażąda aktu i poda mi nazwisko i adres nabywcy.

— Odmawiam. Odpis aktu znajdzie Urząd Skarbowy w księdze hipotecznej odnośnej nieruchomości.

— Jaki numer nieruchomości?

— Znajdzie Urząd u siebie w aktach.

— Nieprawda.

— To ja znajdę w aktach Urzędu.

Urzędnik pozwala, aby mu klijentka z aktów wyciągnęła zeznania z poprzednich lat i pokazała numery nieruchomości.

Drugi przykład.

Przed śmiercią chory składa zeznanie o dochodzie. Po śmierci spadkobiercy sprawdzają inwentarz i stwierdzają, że nieboszczyk opuścił kilka pozycji dochodu. Pełnomocnik spadkobierców adwokat Z. składa w ich imieniu uzupełnienie zeznania nieboszczyka i załącza plenipotencje wszystkich spadkobierców do występowania w ich imieniu i w imieniu masy.

Po roku jedna ze spadkobierczyń zostaje wezwana do Urzędu. Stawiają jej następujące pytania:

— Z czego składa się zeznany przez Panią dochód z masy spadkowej?

— Oto specyfikacja.

oraz — Proszę ustalić spadkobierców.

— Odmawiam.

— Dlaczego?

— Bo 1) Urzędowe ustalenie spadkobierców zostało dokonane przez Urząd opłat stemplowych, 2) spis spadkobierców jest w Aktach Urzędu przy uzupełnieniu ostatniego zeznania zmarłego.

———

Naczelnik Urzędu, interpelowany, dlaczego wzywa się strony dla składania zeznań zbędnych odpowiada:

W ciągu roku zmieniło się w urzędzie ¾ urzędników, łącznie z naczelnikiem i jego zastępcą. Funkcjonarjusze musieliby co roku zapoznawać się na nowo z dawnemi aktami, bo nie znają płatników; niepewni jutra nie dbają o zapoznanie się ze sprawami.

Uposażenie jest tak marne, praca ze stronami tak przykra, że każdy stara się uciec z Urzędu Skarbowego na lepszą posadę.

W oszczędnościach doszliśmy do kresu. Raczej do absurdu. Wskutek oszczędności powstaje zbęd-

na praca, zbędne wzywanie stron, strata czasu zarówno dla przepracowanych Urzędów, jak dla obywatela.

Dalsze usprawnienie może być wprowadzone tylko przy zamianie wielkiej ilości skomplikowanych podatków mniejszą ilością prostszych.

Dalsze usprawnienie jest możliwe tylko wtedy, gdy zamiast dzisiejszej dzikiej aglomeracji wprowadzimy system podatkowy.

s. m.

141 NOWORODKÓW — I WIELE BZDUR

Niski poziom naszych pism codziennych jest rzeczą znaną. Sprawa podniesienia tego poziomu jest ważnym warunkiem realizacji aspiracyj mocarstwowych. Niestety wciąż jeszcze zwraca się na sprawy propagandy wogóle, a na prasę w szczególności zbyt mało uwagi[1]). W rezultacie wzrost naszej prasy następuje niemal jedynie w kierunku... ilościowym.

Rodzaj wiadomości, a zwłaszcza jakość artykułów umieszczanych w większej części pism codziennych nadal urągają, wszelkim wyobrażeniom o tem, jak powinna wyglądać gazeta w roku pańskim 1935; w wieku radja, gdy w przeciągu paru godzin można mieć wiadomości z najodleglejszego zakątka świata; w okresie realizacji przymusu szkolnego, gdy pismo codzienne staje się stałym informatorem najszerszych warstw ludności.

Jest jedno generalne tłómaczenie wszelkich niedomagań naszej prasy: bieda. Niewątpliwie tłómaczy ona wiele, lecz bynajmniej nie wszystko. Rzeczą zrozumiałą jest, że większość pism nie ma możności czerpania wiadomości ze świata przez wysyłanie własnych korespondentów, że skazana jest przez to na przedruki lub na wiadomości podawane w serwisach agencyjnych. Ale istnieje pewna ilość wiadomości opracowywanych bezpośrednio w redakcjach pism. Niski poziom tych właśnie informacyj w wielu wypadkach nie jest wynikiem niczego innego, jak tylko niedołęstwa umysłowego, czy niedbalstwa redaktorów.

Wiadomość istotna, prawdziwa, jest w wielu wypadkach nie mniej ciekawa, podanie jej czy opracowanie niejednokrotnie nie kosztuje więcej czasu, czy wysiłku niż na poczekaniu skomponowana, lub skompilowana bzdura. Tu nie gra już żadnej roli niezamożność pisma. Ot poprostu niechlujstwo!

Przykładzik mały taki: Jedno z pism stołecznych o znacznym nakładzie, dużym aparacie redakcyjnym. W kilkunastu wierszach — jedną pod drugą czytamy następujące cenne i budujące wiadomości:

Wiadomość pierwsza: „W puszczach południowo - afrykańskich lwy rozszarpały tego roku 148 ludzi, w tem 141 noworodków".

A niedobre te lwy! Tak sobie tę cielęcinkę ludzką upodobały! Ale czy P. T. Redakcja nie mogłaby udzielić informacji kto takie dane statystyczne zbiera, jaki to obszar jest objęty temi dociekaniami statystycznemi? A pozatem kogo? Kogo to wszystko obchodzi? Czy chodzi może o to, żeby dzieci nie chodziły do Ogrodu Zoologicznego? Matki Polki — uważajcie!

Wiadomość druga: „185 przepisów na zupę rybną można znaleźć w jednym z holenderskich podręczników kucharskich".

To już pożyteczniejsze. Trzeba było tylko podać nazwę tego podręcznika. No i umieścić w części pisma przeznaczonej dla kucharek. Czy też całe pismo ma to przeznaczenie? Radzimy też wiadomość tę przesłać autorowi „Kuchni doskonałej". Niech się przekona, że nie jest taki doskonały jak myślał. Może dobrze byłoby założyć kursy języka holenderskiego dla kucharek, lub polsko - holenderską wymianę kucharek?

Wiadomość trzecia: „Na 40.000 statystek pracujących w Hollywood, tylko 13 otrzymuje engagement do większych ról!"

Nie martwcie się statystki! To trick reklamowy tych trzynastu gwiazd. Robią się ważne! Mój znajomy bileter w kinie mówi, że teraz to gwiazd jest tyle co w mlecznej drodze. Nie wiele mniej niż statystek.

Wiadomość czwarta: „Na sto małżeństw tylko 12,7 procent jest szczęśliwych".

Cieszcie się kawalerowie! Lepiej grać na loterji, bo tam co drugi los wygrywa. Ale to ci ta statystyka robi postępy. Czemuż Redakcja wstydzi się podać kto tę gałąź nauki do takiej perfekcji doprowadził. I jak to obliczył? A najwięcej mi imponuje te siedem dziesiątych procent szczęśliwego małżeństwa. Tu dopiero nauka święci prawdziwe triumfy. Stopień szczęśliwości małżeństwa z dokładnością do jednej dziesiątej obliczyć! No, no! Czuję w tem jeśli nie p. Pyfellę, to przynajmniej Szyllera - Szkolnika. Któżby inny potrafił?

Wiadomość piąta: „Stary wieśniak włoski Giovanni Masco z Lukki doczekał się 198 potomków w prostej linji".

Czy mamy posłać życzenia? Jeżeli tak, to jaki jest adres p. Masco. Jaka część potomstwa to Mascoty, a jaka Mascotki? I czy w tej rodzinie było też 12,7% małżeństw szczęśliwych — czy może więcej?

A teraz jedno pytanie. Czyż naprawdę nie można znaleźć gdziekolwiek, chociażby w „Małym Roczniku Statystycznym", kilku wiadomości z sensem, a któreby czytelników zainteresowały? Przecież tam jest cała kopalnia danych napewno ciekawszych, niż wiadomość o 141 noworodkach, pożartych przez lwy i dokładniej obliczonych, niż te 12,7 procent szczęśliwych małżeństw. I dane te są gotowe. Nie potrzeba pracy, nie potrzeba kosztów. Jeżeli treść tych kilkuwierszowych wiadomości mają wypełniać jakieś dane statystyczne, bo tego chcą czytelnicy, to przecież nie muszą to być koniecznie same takie bzdury.

I to dziwić się później, że ludzie nie ufają statystyce!

A sprawa nie jest błaha. Bo przecież przy dzisiejszem prawdziwem czy wyimaginowanem szyb-

---

[1]) Patrz artykuł: „Potrzeba propagandy" — „Gospodarka Narodowa" Nr. 14 z dn. 15 lipca.

kiem tempie życia jedyną strawą duchową setek i tysięcy ludzi są wyłącznie gazety. O dobrą treść tych gazet, nawet w dziale drobnych wiadomości, powinna być podjęta walka. Walka „od pasiczka do rzemyczka", od wypleniania drobnych bzdur do podnoszenia poziomu artykułów i pism wogóle. Od rezultatów tej walki zależy wiele. To też powinien ktoś ją prowadzić i być za nią odpowiedzialny. Ktoś, komu możnaby stukać codzień palcem w zadrukowaną płachtę, lub podkreślać czerwonym ołówkiem to wszystko, co z leniwych, poruszających się po linji najłatwiejszego głupstwa piór redakcyjnych, po przez maszyny rotacyjne płynie do głów miljonów.

b. ł.

NA ŻEBRY

Małopolska środkowa należy do tych dzielnic Polski, gdzie głód ziemi najdobitniej znajduje swój wyraz. I ceny tam są wyższe niż w innych dzielnicach i tranzakcje żywsze niż gdzieindziej.

W jednem z miast powiatowych tej dzielnicy notarjusz przez lat kilka popełniał nadużycia. Fakt coprawda smutny, ale nie nastręczający, zdawałoby się, pola do dalszego krzywdzenia poszkodowanych. Nadużycia polegały na inkasowaniu od klijenteli opłat stemplowych nie wpłacanych następnie do Kasy Skarbu. Notarjusz jest swoistym funkcjonarjuszem pańtwa, — zewnętrzne pozory upodabniają go do zawodów wolnych. Tem nie mniej jest on funkcjonarjuszem państwa i nadużycia popełniane przezeń nie mogą w żadnym razie obciążać klijentów, którzy uiścili wszystkie opłaty.

W tym wypadku nawet strata dla Skarbu mogłaby być minimalną, albowiem notarjusz, uciekając zostawił nieruchomość, na której państwo zabezpieczyło należne mu czterdzieści parę tysięcy złotych.

W naszem zrozumieniu, po ustaleniu sumy defraudacji należałoby nieruchomość sprzedać i straty Państwa w ten sposób upłynnić. — Jakież bo mogłyby być dalsze skutki?

My źle rozumujemy.

Prawidłowo rozumuje natomiast nowy notarjusz ustanowiony na miejsce zbiegłego.

Sprawy pozostawione w spadku przez defraudanta leżące po kilka lat, pozostawia nadal bez załatwienia, nie przesyła do sądu aktów dla wpisania do katastru gruntowego zmiany tytułu własności i żąda od nowonabywców powtórnego uiszczenia opłat stemplowych.

Mentalność poborcy podatkowego umieszczona w notarjacie przynosi owoc o swoistym smaku.

Chłopi nie są w stanie uiścić po raz drugi opłat stemplowych, zadłużeni przeważnie przy samym zakupie.

Ci co jednak wyskrobują złocisze na ten haracz nie wiedzą kogo w sądzie skarżyć o zwrot podwójnie pobranej opłaty, czy defraudanta rejenta, czy rejenta fiskalistę czy Skarb Państwa.

A tymczasem:

Zbywca może grunt sprzedany sprzedać jeszcze raz.

Nabywca nie może zapłaconego gruntu ani zbyć ani obciążyć.

Wierzyciel zbywcy może się zaspokoić zgruntu Bogu ducha winnego nabywcy.

A potom dokazywaj czto ty nie wierbliud.

Notarjat w Kolbuszowej otwiera horyzonty, które w dziedzinie gospodarowania są rewelacją.

s. m.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAK C ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFO N 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Druk. „ZAWODOWA", Z. Winkler, Długa 30, tel. 11.53-01.